

KONRAD KOMORNICZAK

„BAJKA O OLBRZYMACH”

Tuż za siedmioma lasami, do których rodzice zabierali was na grzyby, tuż za siedmioma górami, z których z uśmiechem na ustach i rozgrzanymi policzkami zjeżdżaliście zimą na sankach, tuż za siedmioma wreszcie morzami, nad którymi spędzaliście swoje najpiękniejsze wakacje, istniała nigdy nie dostrzeżona przez ludzi Kraina. Położona w cieniu drzew i pośród cichego szemrania strumyków emanowała spokojem i dawała poczucie bezpieczeństwa wszystkim zamieszkującym je stworzeniom. Co rusz rozbrzmiewała odgłosami wylegującej się leniwie w słońcu natury. Niemal w samym jej środku, nieopodal piętrzącego się nad okolicą, wysokiego na kto wie ile metrów, przypominającego swoim kształtem śpiącą kobietę wzgórza, na świat przyszła czwórka małych olbrzymów. Pomarszczeni chłopcy o ziemistej cerze pojawili się jakby znikąd. Nie mogąc otworzyć zbyt wrażliwych wciąż oczu wiercili się nieporadnie w trawie, instynktownie poszukując mamy. Nie znaleźli jej jednak zarówno wtedy, jak i nigdy później. Być może nie było w olbrzymiej tradycji zwyczaju pielęgnowania młodych, a być może stało się coś strasznego. Co się wydarzyło nie wiedział nikt, pewnym jednak było, że przed niemowlakami w tej właśnie chwili rozpoczęła się największa przygoda ich życia – spotkanie ze światem twarzą w twarz.

Mijały kolejne dni i noce. Słońce na przemian z księżycem doglądało, by nikt z ludzi nie odnalazł Krainy i nie zanieczyścił jej pradawnego piękna. Olbrzymy natomiast otworzyły wreszcie oczy i rozpoczęły przechadzkę po swoim nowym domu. Choć ich nogi, mimo młodego wieku, były ogromne i zbudowane jakby ze skały, nie potrafiły jeszcze dźwignąć reszty potężnego ciała. Nie żeby chłopcy nie próbowali. Co to, to nie. Nieustannie podejmowali ambitne próby wstania, kończące się jednak zawsze niekontrolowanymi piruetami i upadkami, wygniatającymi w miękkiej ziemi głębokie bruzdy. Swoją rozkoszną nieudolnością wzbudzali salwy śmiechu wśród przypatrujących się z góry ptaków i lżę wzruszenia u młodych saren baczenie obserwujących swoje młode wyczyniające podobne popisy. Nie zniechęcone niepowodzeniami olbrzymy jeden za drugim raczkowały dokoła, zataczając coraz to większe kręgi aż dotarły do maleńkiego stawu. Jak za dotknięciem magicznej różdżki pochyliły jednocześnie głowy nad taflą wody i z zaciekawieniem wpatrywały się we własne odbicia. W nieruchomej toni ujrzały cztery szerokie, złożone z mieszaniny piasku, gliny i kamieni twarze, których brunatne oblicze rozjaśniały porastające czubek głowy rzadkie, zielone włosy oraz duże, jasne i pełne niewytlumaczalnego ciepła oczy. Chłopcy nie mogli się nadziwić. Jeden z nich spróbował nawet dotknąć swojej podobizny, jednak wystraszył się i natychmiast wyciągnął dłoń z lodowatej wody. Po gładkiej jak lustro powierzchni stawu nieśmiało przebiegły fale a razem z nimi zerwał się wiatr. Choć całe zdarzenie nie trwało dłużej niż kilka sekund olbrzymy ze strachu zamknęły oczy. Gdy znowu je otworzyły nad swoimi odbiciami na spokojnej i gładkiej jak lustro powierzchni stawu dostrzegły delikatne kształty układające się w słowa: Onufry, Fryderyk, Alfred i Jerzy. Zdarzenie to jednak nie przykuło uwagi chłopców i wkrótce po nim ruszyli dalej odkrywać nie poznane zakątki cudnej Krainy.

Już wkrótce nauczyli się chodzić i ze sposobności tej korzystali najczęściej jak to tylko było możliwe. Nie istniał zakątek, w którym nie goniliby się, nie taplali w błocie, czy nie rzucali do celu owocami. Odwiedzili nawet miejsca, do których dochodził cichy szum ludzkiej egzystencji, a przed którymi to miejscami tak ostrzegali ich wszystkie zwierzęta. Rośli w zastraszającym tempie i niespełna rok po urodzeniu sięgali ponad korony najwyższych nawet drzew. Szybko zaprzyjaźnili się z pozostałymi mieszkańcami

Krainy. Nie tylko dlatego, że mieli dobre serca i czyste dusze, ale również dlatego, że jako najsilniejsi nigdy nie odmówili pomocy nikomu, kto by jej potrzebował. Nawet ptakom, które nieraz bujając wysoko w obłokach, nie dostrzegając olbrzymów zapaskudziły ich głowy, za co później żarliwie przepraszały. Czy jednak zaprzyjaźniły się z naprawdę wszystkimi mieszkańcami?

Zdarzyło się raz pewnego, że po ciężkim dniu, w którym Onufry, Fryderyk, Alfred i Jerzy jak zwykle beztrudnie całe przedpołudnie hasali po łąkach i zagajnikach, po czym naznosili gałęzi na gniazda dla tysiąca skrzekliwych jaskółek, niezmiernie zachciało im się spać. Położyli się blisko siebie w trawie i w ostatnich blaskach słońca usnęli. Poza drobnym incydentem, gdy Jerzemu śniło się że wdrapuje się na największą górę świata ich sen był głęboki i nieprzerwany, a noc spokojna i nie zwiastująca kłopotów. Jerzego zresztą także udało się poskromić. Onufry, nie budząc nawet stającego po nim brata, strząsnął go jednym głębokim wdechem powietrza do klatki piersiowej. Najdziwniejsze miało jednak dopiero nadejść.

Obudziło ich delikatne łaskotanie w swojej uciążliwości nieco przypominające poranne brzęczenie muchy. Kiedy Alfred spróbował ręką strzepnąć z siebie intruza i powoli podniósł się z wygniecionej trawy dookoła olbrzymów rozległ się nieprzenikniony wrzask tysięcy cieniutkich głosików. Pozostali bracia zerwali się i spostrzegli na sobie maleńkie istoty o dziwnych twarzach pokrytych jasnożółtą sierścią, spiczastych uszach i mocno nasuniętych na nie czapkach z liści, delikatnie szczypiące ich ciała. Maluchy rozpierzchły się natychmiast z wrzaskiem po okolicznych zaroślach, jednak olbrzymom udało się schwytać jednego z nich.

- Kim jesteście? – zapytał spokojnie Alfred przeciągając się i ziewając jednocześnie.

- Jesteśmy Troblesy – wyjąknął ze strachem jeden z maluchów.

- Co takiego? Nie znam was – olbrzym z zadziwieniem przyglądał się machającemu krótkimi nóżkami nieproszonemu gościowi.

- Nie znasz nas? Kim ty jesteś? – nabrał nieco śmiałości Trobles. - Znaleźliśmy żyzną glebę. Zaczęliśmy sadzić nasiona aż tu nagle bach, trzęsienie ziemi i nasza gleba zaczyna mówić.

- Ej wy! Wyłaźcie z tych krzaków. Nic wam nie zrobimy – krzyknął do pozostałych Troblesów Alfred i wymownym ruchem ręki zaprosił ich do siebie.

Rozmawiali przez cały dzień. Schwytany przez Alfreda, jak się okazało wódz Troblesów, opowiedział olbrzymom o tym jak ludzie niechcący przegonili ich z poprzedniej ziemi, by zbudować na niej coś o niezrozumiałej dla nikogo nazwie i jak po długiej podróży dotarli do Krainy, w której wreszcie znowu poczuli się niczym w domu.

Olbrzymy nie mogły pozostać obojętne na prośby Troblesów i po długiej naradzie zgodziły się na próbę wpuścić kilku z nich na swoje ciała, by małe istotki mogły rozpocząć na nich hodowlę drobnych, jak obiecywały, roślin. Spotkanie z Troblesami w żadnym stopniu nie zmieniło przyzwyczajzeń braci, którzy nadal całymi dniami świetnie się bawili. Można powiedzieć, że nowe towarzystwo wyszło im na dobre, gdyż nawet kiedy mieli już naprawdę dosyć obcowania ze sobą zawsze mogli porozmawiać ze swoimi Troblesami. Współpraca układała się doskonale. Olbrzymy czuły, że wypełniają swój obowiązek pomagając mniejszym braciom, Troblesy natomiast pracowicie sadziły drobne nasionka w robionych specjalnie na ten użytek szczelinach skóry Onufrego, Fryderyka, Alfreda i Jerzego. Czas mijał zacieśniając więzy przyjaźni. Coraz więcej pracowników wspinało się na monstrualne sylwetki olbrzymów, bo i pracy nieustannie

przybywało. Z nasion zaczęły wyrastać pędy, z nich zaś rozłożyły się krzewy i młode drzewa, które chwytając ostre promienie słońca i wilgoć z przyjemnie orzeźwiającego powietrza szybko obsypywały się kwieciami, a następnie dorodnymi owocami. Bracia nadal bawili się jak dawniej, nie spostrzegłszy nawet zmian w swoim wyglądzie. Nie dostrzegli też, że ich chód pod ciężarem niezliczonych już ilości małych robotników i owoców ich ciężkiej pracy stawał się wolniejszy, a wygłupy mniej swawolne. Częściej też musieli kłaść się na spoczynek.

Zdarzyło się też tak, że pewnego dnia chłopcy udali się nad dawno zapomniany staw, w którym niegdyś po raz pierwszy dowiedzieli się kim naprawdę są. Dopiero, gdy zupełnie jak po swoich narodzinach ustawili się równo nad brzegiem wody dostrzegli, że nie są już tacy sami jak kiedyś. Całe ich ciała pokrywała gęsta sieć roślin i wijących się wśród nich Troblesów sadzących kolejne małe, niepozorne nasiona. Zobaczyli, że ich sylwetki nie wyglądają już na tak silne, szyje garbią się od ciężaru a barki nienaturalnie gną się ku ziemi. Każdy z nich spostrzegł wreszcie zasmuconą tym faktem twarz braci. Nie mieli jednak śmiałości się odezwać.

- Czy wszystko w porządku? – zapytał jeden z maluchów widząc nic nie mówiących, zapatrzonych w taflę wody przyjaciół.

- Wszystko w porządku – odpowiedział Alfred, po czym wszyscy w zamyśleniu odeszli od stawu.

Bracia całą noc nie mogli spać rozmyślając nad tym jak powiedzieć Troblesom, że stały się dla nich ciężarem, tak by nie urazić ich małych serc. Cicho szepcząc postanowili udać się do krainy ludzi, by odzyskać dla swoich przyjaciół ich dawne siedlisko.

Wyruszyli jeszcze tej samej nocy. Droga do ludzkich osad okazała się dużo dłuższa niż zdawałyby się wskazywać na to szmery dochodzące z granic Krainy. Olbrzymy mimo swojej ogromnej siły czuły na całych ciałach potworne zmęczenie. Idący przodem Jerzy i Fryderyk nie ustawali jednak w marszu. Tak dalece zależało im na pozbyciu się Troblesów, że parli przed siebie nie zauważając nawet, że Alfred przysiadł w połowie drogi, nie mogąc kontynuować podróży. Również Onufry nie wytrzymał tempa braci. Zmęczony i wściekły zrzucił z siebie zszokowane Troblesy. Zerwał rośliny i po raz pierwszy od bardzo dawna stanął w pełni wyprostowany przypominając sobie o dawnej witalności.

- Czy kilku naszych towarzyszy może jeszcze wejść na ciebie Alfredzie? Nie dajemy sobie rady z pracą. Teraz kiedy siedzisz będzie nam o wiele łatwiej – pytały olbrzymy Troblesy nie spostrzegając jego wykrzywionej grymasem zmęczenia twarzy.

- Wchodźcie. Jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciele muszą sobie pomagać – odpowiedział najłagodniej jak mógł zdobywając się jeszcze na ostatni uśmiech.

Jesteście ciekawi jak kończy się ta historia? Jerzy i Fryderyk dotarli wreszcie do miasta i odzyskali dawną ziemię Troblesów. Dopiero kiedy pozbyli się uciążliwego balastu dostrzegli, że nieustanne dźwiganie tak ogromnego ciężaru rozbudowało ich mięśnie do niebotycznych rozmiarów. Wreszcie wolni, dysponowali siłą wielokrotnie większą niż przed przygodą z małymi przyjaciółmi. Postanowili nie wracać więc do Krainy. Zamiast tego idący na przód Jerzy wykorzystał swoją siłę do pomocy ludziom. Budował tamy i mosty, zmieniał bieg rzek zagrażających ludzkim osadom, drążył tunele, kopał jedną ręką studnie. Idący o kilka olbrzymich kroków za nim Fryderyk natomiast, niby to przypadkiem, niszczył wszystko co napotkał, zazdroszcząc bratu sławy, szacunku

i podziwu wśród ludzi. Pogodzony ze swoim losem Alfred już na zawsze pozostał w miejscu, w którym przystanął, by odpocząć podczas podróży. Na jego ciele powstało ogromne miasto Troblesów, ze wspaniałymi domami i ogromną ilością przebogatych upraw. Nie mógł się poruszać, jednak nie czuł się smutny, bo zawsze już był blisko swoich przyjaciół. Onufry zaś po odtrąceniu Troblesów długo czuł wyrzuty sumienia z powodu opuszczenia przyjaciół w potrzebie. Błąkał się samotnie po Krainie, by wreszcie położyć się obok wzgórza, przy którym przyszedł na świat i upodabniając się do niego zasnąć na wieki. W tym samym momencie, w którym zamknął oczy ziemia zatrzęsała się w Krainie a z obu zboczy każdego z pagórków popłynęły ciepłe strumienie o słonym posmaku. Dwa z nich należały do zmarłego z tęsknoty i pustki Onufrego, pozostałe zaś do matki, która właśnie straciła syna. Nie wszyscy przecież żyją zawsze długo i szczęśliwie.